

MARIAN PRZEŁĘCKI
Uniwersytet Warszawski

WYZNANIA POLITYCZNEGO KONFORMISTY

W ostatnim – jak się okazało – dziesięcioleciu życia Profesora Mariana Przełęckiego (ur. 17 maja 1923 roku w Katowicach, zm. 9 sierpnia 2013 roku w Otwocku) miałam zaszczyt pozostawać z Nim w bardzo bliskich stosunkach naukowych i osobistych. Plonem pierwszych były m.in. dwa zredagowane przeze mnie tomy jego pism: *Intuicje moralne* (2005) i *Horyzonty metafizyki* (2007); dzięki drugim – stałam się depozytariuszką wielu osobistych „wyznań” Profesora Przełęckiego, w tym Jego ustnych „zwierzeń” i drobnych tekstów, które można potraktować jako strzępy nigdy ostatecznie niespisanych wspomnień.

Poniżej publikuję jeden z takich tekstów, co do których życzeniem Profesora Przełęckiego było, aby ogłoszone zostały dopiero po Jego śmierci.

Anna Brożek

Komentując niedawno piękny wiersz Thomasa Hardy’ego *W czas „miażdżenia narodów”*¹, dałam wyraz swojej solidarności z zawartą w nim wizją tego, co w życiu ludzkim jest rzeczą ważną, a co nieważną. Otóż ważne są, zdaniem poety, sprawy takie, jak praca i miłość, nieważne – takie, jak losy dynastii i wojen. Mówiąc o miłości dwojga młodych, poeta głosi, iż:

Pochłonie chmurna noc annały wojen –
Historia tych dwojga przetrwa.

Nieważna jest więc – wbrew potocznym mniemaniom – cała dziedzina życia politycznego, politycznych sporów i działań. Bliski jest mi, jak powiedziałem, ten punkt widzenia. Nie zasługuję zatem na miano „zwierzęcia politycznego”, którym Arystoteles określał istotę ludzką.

Skoro taka jest moja postawa życiowa, dlaczego właściwie chcę się wdać w jakieś rozważania natury politycznej? Dlaczego chcę komentować swoje polityczne przekonania i zachowania? Przyczyniła się do tego niewątpliwie aktualna sytuacja polityczna, w szczególności pewne głoszone w tej sytuacji polityczne tezy i oceny. Idzie tu przede wszystkim o twierdzenia dotyczące

¹ Zob. M. Przełęcki: *Rzeczy ważne i nieważne*, w: R. Kleszcz (red.): *Widnokrąg analityczny. Księga dedykowana profesorowi Adamowi Nowaczykowi dla uczczenia jego dorobku naukowego*. Łódź 2009, s. 307-312.

tego okresu historii Polski, który trwał od roku 1945 do 1989. Najtrafniejszą jego nazwę i jego charakterystykę podał kiedyś Bogusław Wolniewicz. Ponieważ w pełni zgadzam się z jego propozycjami przytoczę je tutaj w ich brzmieniu dosłownym:

W historii Polski jedni nazywają lata 1945-1989 pogardliwie „Peerelem”, drudzy pochwalnie – „Polską Ludową”. My będziemy je nazywać neutralnie „Polską Jałtańską”, na wzór „Polski Kongresowej”, gdyż były to dwie formy naszej państwowości najbardziej w swej genezie i ustroju do siebie podobne. Obie były z obcego ustanowienia: jedna Konferencji Jałtańskiej, druga Kongresu Wiedeńskiego. Obie były ściśle podporządkowane zwierzchnictwu Rosji, więc niesuwerenne. I obie miały znaczną autonomię wewnętrzną, o zmieniającym się z czasem zakresie².

Tak więc, mówiąc o Polsce z lat 1945-1989, będę nazywał ją za Wolniewiczem „Polską Jałtańską” i opierał się na podanej przez niego jej charakterystyce.

Problem, jaki przede mną staje, wyrazić można tak oto. Całe moje dojrzałe życie przypada na okres Polski Jałtańskiej: w roku 1945 rozpocząłem studia uniwersyteckie, w roku 1993 przeszedłem jako profesor uniwersytetu na emeryturę. Otóż, ujmując rzecz jednym słowem, gotów jestem powiedzieć, że moje życie w owej Polsce Jałtańskiej było życiem szczęśliwym (co nie wyklucza oczywiście nieszczęść i cierpień spotykających człowieka niezależnie od ustroju, w którym żyje). Jak pogodzić to z głoszonym dziś totalnym potępieniem ówczesnego ustroju – z traktowaniem go wprost jako Reaganowskiego „imperium zła”? I jak określić mój własny stosunek do tej Polski Jałtańskiej – moją postawę wobec niej i jej ocenę?

Zanim spróbuję odpowiedzieć na te pytania – dwa ważne zastrzeżenia. Pierwsze z nich wiąże się ze wspomnianą już moją „apolitycznością” – moim dystansem do aktualnych spraw politycznych, które nigdy mnie żywiej nie absorbowwały (nie czytywałem np. żadnej gazety codziennej, zadowalając się cotygodniową lekturą *Polityki*). Konsekwencją tego jest moja niepełna i powierzchowna znajomość spraw politycznych, zarówno dalekich, jak i bliskich. Toteż wszystko, co piszę na tematy polityczne, z tym zastrzeżeniem musi być przyjmowane. Są to sprawy, na których się dostatecznie nie znam. Ważniejsze jest zastrzeżenie drugie. Dotyczy ono właściwego celu moich rozważań. Celem tym jest, mówiąc najogólniej, przedstawienie mojego stosunku do Polski Jałtańskiej, a nie jego wartościowanie – jego opis, a nie ocena. Chciałbym

² B. Wolniewicz: *Filozofia i wartości* III. Warszawa 2003, s. 80.

zwłaszcza podkreślić jak najmocniej, że celem tym nie jest próba obrony mojej postawy politycznej – co najwyżej próba jej zrozumienia. A zrozumieć – wbrew znanemu powiedzeniu – nie zawsze znaczy wybaczyć.

Mój stosunek do rzeczywistości Polski Jałtańskiej wyznaczony był nie tylko przez czynniki obiektywne, ale również przez pewne czynniki subiektywne, do których należy moja wizja kondycji ludzkiej i związana z nią koncepcja etyczna, za jaką przemawia moja intuicja moralna. Zaczniemy jednak te uwagi od mojej reakcji na pewne obiektywne cechy, charakteryzujące ową rzeczywistość Polski Jałtańskiej.

Tym, co uderza mnie najbardziej w dzisiejszej krytyce „Peerelu”, jest jej globalny, bezwyjątkowy charakter: „Peerel” jawi się w niej jak polityczny monolit, jako rzeczywistość, w której wszystko i zawsze było złe. Jest to, w moim przekonaniu, obraz jaskrawo nieadekwatny. Rzeczywistość Polski Jałtańskiej była wyraźnie niejednolita. Cechowały ją różne okresy, różni polityczni przywódcy, różne polityczne tendencje, różne strony i elementy jej ustroju. Jej sprawiedliwa ocena winna tę różnorodność uwzględniać. A oto najprostszy przykład nieprzestrzegania tego postulatu: obraz pustych półek sklepowych i kartek żywnościowych, właściwy dla lat osiemdziesiątych, przedstawia się z reguły jako obraz całości gospodarki „Peerelowskiej”.

Znacznie ważniejszy i bardziej brzemienny w skutki jest obraz aktów politycznego terroru, jakie miały miejsce w Polsce Jałtańskiej. Terror taki stosowany był niewątpliwie w czasie stalinowskim – z jego fingowanymi procesami, stosowanymi w śledztwie torturami, wykonywanymi wyrokami śmierci. Dziś przedstawia go się często jako coś, co charakteryzowało cały okres „Peerelu”. Otóż z twierdzeniem takim stanowczo zgodzić się nie mogę. Rok 1956 (poprzedzony zresztą od roku 1954 okresem „odwilży”) uważam w zasadzie za koniec stosowania terroru w polityce Polski Jałtańskiej. Nie kwestionuję, rzecz jasna, stosowania politycznych aktów przemocy w późniejszych okresach Polski Jałtańskiej – choćby w wydarzeniach z lat 1970 czy 1981; nie nazwałbym ich jednak aktami politycznego terroru – jeśli tego słowa mamy używać w jego znaczeniu dosłownym. Działania te – mimo całej swej dramatyczności i tragicznych skutków – inny miały charakter i inną motywację.

Aby to sobie uświadomić, przypomnijmy, co o Polsce Jałtańskiej mówi Wolniewicz w przytoczonym cytacie. Było to państwo podporządkowane zwierzchnictwu Związku Radzieckiego, a więc niesuwerenne, ale o znacznej autonomii wewnętrznej. Otóż warunkiem tej autonomii był właśnie ów stan podporządkowania. Jego gwarancją dla Związku Radzieckiego było utrzymanie w Polsce władzy komunistycznej. Toteż – aż do czasu Gorbaczowowskiej „pierestrojki” – wszelkie próby obalenia tej władzy groziły zbrojną interwencją

Związku Radzieckiego, która by w rezultacie ową autonomię Polski Jałtańskiej zniweczyła lub radykalnie ograniczyła (nie mówiąc o innych dramatycznych skutkach takiej interwencji). Tym byłbym skłonny tłumaczyć, mniej lub bardziej bezwzględne, akty przemocy skierowane przez władze polskie przeciwko ruchom społecznym z lat 1970 czy 1981; były to bowiem ruchy, które groziły obaleniem władzy komunistycznej i wszelkimi związanymi z tym niebezpieczeństwami (z wojną domową i obcą interwencją włącznie). Jak pisze o grudniu 1981 Wolniewicz:

Ustąpienie władzy wtedy nie było możliwe; sytuacja światowa jeszcze do tego niedojrzała. Pożar musiał być zgaszony. I jak na taką krajową pożogę, został zgaszony kosztem możliwie najmniejszych ofiar³.

O pewne zbrodnie polityczne, jakie miały miejsce w tym okresie, nie można oskarżać twórców stanu wojennego (uważam np., że akty takie, jak zabójstwo ks. Popiełuszki, skierowane były przeciwko polityce Jaruzelskiego).

Mówiąc ogólnie, przywódcom Polski Jałtańskiej nie byłbym skłonny odmawiać przywileju dobrej woli i przypisywać motywy przestępcze. Wierzę, że w swojej działalności usiłowali oni na ogół pogodzić interes Polski z lojalnością wobec Związku Radzieckiego. Niestety, często czynili to w sposób nieudolny, doprowadzający do ostrych wewnętrznych konfliktów, które tłumili następnie, nieuniknionymi ich zdaniem, aktami przemocy.

Różnorodność cechowała też życie kulturalne Polski Jałtańskiej – życie bogate i ciekawe. Mimo, tak podkreślanych dziś przy każdej okazji, ograniczeń cenzury, to w tym okresie właśnie powstały wybitne dzieła literackie, teatralne, filmowe czy muzyczne, m.in. najlepsze filmy Wajdy (np. *Ziemia obiecana*) czy utwory Pendereckiego (np. *Pasja według św. Łukasza*). Ograniczona swoboda wypowiedzi dawała się głównie we znaki w publicystyce politycznej, która, w pewnych okresach zwłaszcza, raziła brakiem otwartości, absurdalną „nowomową” czy wręcz jawnym zakłamaniem („telewizja kłamie!”).

Polskę Jałtańską dzieliły jednak od obecnej Polski niepodległej przede wszystkim pewne fundamentalne cechy ustrojowe. W przeciwieństwie do kapitalistycznego ustroju Polski obecnej, była to Polska o ustroju, który – przy wszystkich swych wynaturzeniach – mógł być nazwany „ustrojem socjalistycznym”: ustrojem tzw. realnego socjalizmu. W odrzuceniu tego ustroju widzi się dziś – obok niepodległości i demokratyzacji – główną wartość przebytej transformacji. Otóż przyznać się muszę, że należę do ludzi, którzy nie podzie-

³ *Op. cit.*, s. 270.

lają tej entuzjastycznej oceny. Decydują o tym (jak wspomniałem na wstępie) moje przekonania światopoglądowe – metafizyczne i etyczne. Dawałem już im wyraz niejednokrotnie (m.in. w swym *Chrześcijaństwie niewierzących*); teraz więc tylko parę słów przypomnienia.

Źródłem tych poglądów była określona, narzucająca mi się nieodparcie, metafizyczna wizja człowieka i ludzkiego losu, dzięki której zrozumiałem i odczułem w sposób przejmujący, że każdy człowiek jest w istocie swę kimś, kto budzi litość; że każdy zasługuje na nasze współczucie i miłosierdzie. Stąd moja niechęć do etycznego rygoryzmu i moje preferencje w moralnych konfliktach wartości: przekładanie miłosierdzia nad sprawiedliwość, czy bezpieczeństwa nad swobodę. Stąd w rezultacie moja opcja polityczna: sympatia do socjalistycznej idei państwa opiekuńczego, antypatia do kapitalistycznej zasady konkurencji; mówiąc ogólnie – akceptacja takiego tylko ustroju, w którym mogą żyć bez poniżenia i ci, którym się w życiu nie powiodło. Słynne swego czasu powiedzenie: „Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”, które miało wyrażać absurd „Peerelowskiego” ustroju gospodarczego, zawiera w moim poczuciu pewną myśl słuszną. Idealem byłoby, gdyby każdy obywatel, niezależnie od swych osiągnięć, mógł mieć zapewnione pewne minimum egzystencji; tylko to, co poza to minimum wykracza, zależałoby od jego zdolności i jego dokonań.

Na mój stosunek do ustroju socjalistycznego miały jednak wpływ nie tylko moje przekonania etyczne. W równym co najmniej stopniu odegrały tu rolę pewne istotne cechy mojej osobowości: zamiłowanie do spokoju i pokoju, instynktowna niechęć do sytuacji konfliktu i walki, skłonność do życia kontemplacyjnego, a wreszcie nieprzywiązywanie większej wagi do „dóbr tego świata”. Otóż człowiek o takim usposobieniu z natury rzeczy lepiej się czuść musi w socjalizmie (nawet „realnym socjalizmie”) niż w kapitalizmie. Decydująca pod tym względem jest rola konkurencji. Nie sposób zaprzeczyć, że konkurencja potrafi wydobyć z nas takie możliwości i dokonania, jakie na innej drodze nie byłyby osiągalne. Czyni to jednak za cenę przekształcenia naszego życia w przysłowiowy „wyścig szczurów” (który zaczyna się już w szkole, gdzie podobno znika zwyczaj podpowiadania). Dla kogoś z usposobieniem takim, jak moje, byłaby to cena nie do przyjęcia. Toteż zadowolony byłem, że żyjąc w Polsce Jałtańskiej, ceny tej płacić nie musiałem. Warunki w ówczesnej Polsce panujące pozwalały mi żyć „na luzie”. Swoje obowiązki zawodowe – naukowe i dydaktyczne – starałem się wypełniać przyzwoicie, nie dążąc jednak nigdy do jakichś maksymalnych osiągnięć, nie starając się prześcignąć innych. Toteż wysiłek, jaki wkładałem w tę pracę, nie odbierał mi poczucia swobody i urody życia. Mogłem pozwalać sobie na długie, sześciotygodniowe zwykłe,

wakacje letnie i dwutygodniowe zimowe, na głębokie kontakty z przyjaciółmi, na żywy udział w życiu artystycznym (przez kilkadziesiąt lat np. miałem stały abonament do filharmonii) itp. Wszystko to stanowiło urok życia cenniejszy niż inne wartości życiowe.

Zdaję sobie oczywiście sprawę z dobroczynnych skutków konkurencji dla rozwoju głównych dziedzin życia społecznego: nauki, techniki, gospodarki. Świadczy o tym niewątpliwie porównanie rzeczywistości obecnej z ubogą i „zgrzebną” rzeczywistością Polski Jałtańskiej. W sytuacji takiej stajemy więc przed aksjologicznym dylematem, który każe nam wybierać między sukcesem a „świętym spokojem”. Jak mówiłem już, należę do ludzi, którzy z natury rzeczy skłonni są wybierać tę drugą ewentualność. Wiąże się to z wyznawaną przeze mnie hierarchią wartości, w której owe życiowe sukcesy – „dobra tego świata” – nie zajmowały nigdy pozycji dominującej. (Jest tak, być może, dlatego, że do wielu dóbr życiowych miałem dostęp w młodości; nie stanowiły więc one dla mnie jakiegoś przedmiotu niespełnionych pragnień.) To nastawienie pozwoliło mi łatwiej pogodzić się z „nędzą” Polski Jałtańskiej, a zarazem docenić pewne – ważne dla mnie – jej zalety. Pociągało też za sobą pewne konsekwencje ułatwiające życie w ustroju „realnego socjalizmu”. Dawało mi bowiem pewną niezależność od decydujących czynników politycznych. Minimalizm moich potrzeb życiowych sprawiał, że nie musiałem o nic prosić politycznych decydentów i nie musiałem wobec tego zabiegać o ich przychyłność, o to, aby być kimś przez nich „dobrze widzianym”. Dawało to w rezultacie duży margines niezależności, którego nie mieli ci, co zabiegali o różne zaszczyty i dochody, o mieszkania, samochody, zagraniczne wojaże itp. Ta niezależność pozwoliła mi unikać sytuacji, w których musiałbym iść na jakieś – trudne do przyjęcia – kompromisy.

Mój polityczny „konformizm” opierał się na założeniach, które „niekonformistyczni” przeciwnicy „Peerelu” skłonni byli odrzucać. Sądziłem, że sprawa niepodległości Polski została przesądzona w Jałcie i że w istniejącej sytuacji międzynarodowej zmiana tego stanu rzeczy nie leży w naszej mocy. W rezultacie uważałem, że owa Polska Jałtańska jest jedynym istniejącym państwem polskim. Toteż trzeba dążyć nie do jej obalenia, tylko do jej ulepszenia. Nie zaostrezzać istniejących konfliktów, tylko je łagodzić. I ograniczać się w tym dążeniu do działalności legalnej. Niepożądana wydawała mi się działalność konspiracyjna („walka podziemna z reżimem komunistycznym”), a jako niewłaściwe odczuwałem przyrównywanie tego reżymu do okupacji hitlerowskiej. Rok 1945 przeżyłem jako wyzwolenie, a nie jako początek nowej okupacji. Podobnie chyba odczuwała to większość społeczeństwa. Autentyczny był też w latach następnych entuzjazm towarzyszący odbudowie kraju.

Mój stosunek do rzeczywistości Polski Jałtańskiej słusznie określić można jako „konformistyczny”. Nie występowałem bowiem publicznie (poza nielicznymi wyjątkami) z krytyką tego ustroju – nawet taką, która byłaby działaniem całkowicie legalnym. Nie czyniłem tego, gdyż w ogóle nie wypowiadałem się w sprawach politycznych, którymi (jak już mówiłem) nigdy żywiej się nie interesowałem, i do których nie przykładałem większej wagi. Na tym przede wszystkim polegał mój „grzech apolityczności”. Niezależnie jednak od tego głosiłem (m.in. na łamach *Więzi*) określone poglądy etyczne, które miały, jak wierzyłem, pożądaną konsekwencje polityczne; niektórym z tych konsekwencji dawałem zresztą, w trudnych latach osiemdziesiątych, wyraz bezpośredni (w *Polityce* czy *Odrodzeniu*).

*

Próbowałem tu przedstawić moją – konformistyczną – postawę polityczną, tłumacząc zarazem, dlaczego ją zajmowałem. Zdaję sobie sprawę, że to tłumaczenie może się wydać wątpliwe – że właściwa motywacja mojego postępowania mogła być inna. Mogło nią być na przykład zwykłe tchórzostwo: obawa przed mogącymi mnie spotkać politycznymi represjami. Myślę, że rozstrzygnąć tę sprawę mógłby tylko jakiś psychoanalityk, sięgający do mojej podświadomości i w niej doszukujący się najgłębszych motywów mojego postępowania. Ja sam oczywiście tego zrobić nie mogę. Wobec wspomnianej hipotezy, zarzucającej mi tchórzostwo, mogę tylko wysunąć argument następujący: jedyną represją polityczną, której się naprawdę obawiałem, była utrata wolności – kara więzienia. Otóż moja autentyczna postawa polityczna, umiarkowanie krytyczna wobec rzeczywistości Polski Jałtańskiej, nie narażała mnie – po roku 1956 – na taką represję. Najgorsze, co mogło mnie spotkać, to utrata pracy uniwersyteckiej. W odróżnieniu od wielu moich kolegów, nie stanowiło to dla mnie poważnej groźby. Nie obawiałem się innej pracy zawodowej, którą znałem już z własnego doświadczenia. Jak wspominałem niedawno, był nawet czas, kiedy ideałem wydawał mi się nie uczyony, tylko „urzędnik bankowy o bogatym życiu wewnętrznym”. Kto wie zresztą, czy w tej roli społecznej nie przysłużyłbym się lepiej naszemu społeczeństwu.

Summary

The author presents and analyzes his attitude to the so-called Jałta Poland. His picture of this period of Polish history is not black-and-white. The main reason of such a picture sticks in the author's axiological views and his economical preferences. According to them, in human life, matters of work and love

are much more important than political matters, as well as the idea of tutelary state is more humane than the practice of rat race.

Key-words: ethics of pity, Jalta Poland, political conformism.